



WSPOMNIENIE ZDISŁAWA MIŁKOWSKA (1936-2018)

W styczniu 2018 r. zmarła w Sarnakach Zdzisława Miłkowska z d. Domańska, córka ppor. WP Antoniego Domańskiego, który zginął w zbrodni katyńskiej – dąb jego pamięci rośnie na sarnackim starym cmentarzu.



Zdzisława Miłkowska

W Pińsku

Urodziła się w 1936 r. w Pińsku, na terenie obecnej Białorusi. Tam dziesięć lat wcześniej trafił młody Antoni Domański z Franopola koło Sarnak, podjąwszy decyzję o związaniu się z wojskiem na stałe. Aż do wybuchu II wojny światowej pełnił służbę w plutonie żandarmerii wojskowej w Pińsku, wchodzącym w skład 9 Dywizjonu Żandarmerii. Kiedy w 1932 r. zenił się z absolwentką pensji dla panien Adela Matulis, nic nie zapowiadało dalszych tragicznych losów rodziny.

Wszystko układało się pomyślnie przez siedem lat. Młodzi Domańscy szybko wybudowali sobie okazały drewniany dom



Adela i Antoni Domański z dziećmi, Pińsk 1938

obok starego domu na posesji Matulisów. Adela wzorowo prowadziła dom, była świetną kucharką, potrafiła haftować,

szyla na maszynie. Wkrótce urodziły się dzieci: Irena (zmarła kilka miesięcy po urodzeniu), Zdzisława, Zbigniew i Euzebiusz. Antoni okazał się kochającym mężem i ojcem.

Wybuch wojny we wrześniu 1939 r. zaskoczył go na zgrupowaniu w Modlinie. Twierdza broniła się do 29 września 1939 r., więc bardzo prawdopodobne, że wziął udział w jej obronie. Nic jednak nie wiemy na temat losów Antoniego Domańskiego w czasie kampanii wrześniowej. Jednostka wojskowa, w której służył, została rozwiązana z chwilą kapitulacji. Jakimi drogami przebiegał się do domu? Dotarł do Pińska na początku listopada 1939 r.

Ale tutaj już od 20 września trwała okupacja sowiecka. W mieście panował terror i aresztowania. Antoni nie zdążył się nacieszyć widokiem żony i trójki dzieci ani nawet przespać nocy. Ktoś uczynny doniósł o jego powrocie i nad ranem do drzwi załomotało NKWD w osobach dwóch młodych funkcjonariuszy. Aresztowali Antoniego, a na pytania zaskoczonych sytuacją małżonków: dlaczego go zabierają? odpowiadali milczeniem. Został na krótko osadzony w areszcie w Pińsku, a następnie wywieziony w nieznane. Adela Domańska na próżno usiłowała się z nim spotkać albo chociaż dowiedzieć się, gdzie przebywa, ale NKWD nie udzielało żadnych informacji.

Wreszcie nadeszła upragniona wiadomość, krótki list z Ostaszkowa datowany 29 listopada 1939 r., który dawał nadzieję: „*Donoszę Ci, że znajduję się w S.S.S.R. i jestem nadzieję. Proszę Cię bardzo, nie martw się i nie przejmuj się, szanuj swoje zdrowie i dbaj o zdrowie dzieci, gdyż zdrowie jest rzeczą najważniejszą. (...) Bardzo się niepokoję o stan Twojego i dzieci zdrowia. Adres do mnie: miasto Ostaszków, Obłocć Kalenińska, skrzynka pocztowa Nr 37, Domański Antoni syn Ignacego. List napisz po polsku, a adres na kopercie poproś kogoś o napisanie po rosyjsku. Tosiek.*”

List ten był pierwszym i ostatnim kontaktem z Antonim. Nie wiadomo, czy otrzymał odpowiedź od żony, bo od tamtej pory nie było od niego żadnych wiadomości i słuch o nim zaginął. A tymczasem w kwietniu 1940 roku do drzwi jego rodziny w Pińsku znowu zastukało NKWD. Zdzisława, najstarsza z dzieci Antoniego i jedyna z nich, która przeżyła zsyłkę, wspominała to tak: „*Było ich dwóch, nie podali żadnego powodu najścia. Dali godzinę na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy oraz żywności i pogonili nas na stację kolejową. Tam czekał na nas pociąg towarowy z wagonami do przewozu bydła. Podróżowaliśmy jak zwierzęta, ściśnięci, przerażeni i głodni, nie wiedząc, dokąd nas wiozł. Czasami pociąg stawał w polu i można było wyjść na chwilę pod nadzorem pilnujących uzbrojonych konwojentów. W czasie jazdy do załatwiania potrzeb fizjologicznych służył kubek, a w czasie krótkich postojów załatwialiśmy się przy torach, kucając obok siebie, kobiety, mężczyźni, dzieci, gdzie popadnie. Widok był przerażający.*”

W takich tragicznych warunkach i w niepewności jechali kilka tygodni: Adela Domańska (29 lat) i jej ojciec Adam Matulis (76 lat) oraz dzieci – Zdzisława (3,5 roku), Zbigniew (2,5 roku), Euzebiusz (1,5 roku). Istotnym składnikiem pożywienia w czasie drogi były suchary, przygotowane przezornie już na początku wojny „na wszelki wypadek”.

Na kazachskich stepach

Miejszem docelowym był północny Kazachstan. W końcowym etapie podróży wraz z kilkudziesięcioma innymi rodzinami dowieziono ich ciężarowymi samochodami do

dużego kołchozu Airtau, oddalonego kilkadziesiąt kilometrów od miasta Kokczetaw [ros.: Koksztatau], którą przebiegała linia kolejowa. Zesłańcy wysiedli z samochodów na placu przed siedzibą tamtejszych władz, uporządkowali swoje nieliczne bagaże zrzucane z samochodów i czekali, aż mieszkańcy kołchozu wezmą ich do swoich domów. Miejscowi początkowo nieufnie przyglądali się przybyłym, ale mieli obowiązek zakwaterować ich u siebie. Domańskich przygarnęła rodzina Agiewych, ludzie prości i życzliwi. Gdy już poznali trochę przybyszów, polubili ich, ale niewiele mogli

byli bardzo dobre. Jak wspominała Zdzisława, początkowo było ciężko z jedzeniem, brakowało, potem głodu raczej nie było, ale ogólnie jedzenie marne.

W niedługim czasie po przyjeździe doszło do rodzinnej tragedii: w sierpniu 1940 r. wszystkie dzieci zachorowały na szkarlatynę czy też odrę, lekarza nie było, więc kto był silniejszy, to przetrwał – najpierw zmarł młodszy Euzebiusz, a tydzień później Zbigniew. Została tylko fotografia, gdy cała trójka małych Domańskich siedzi z matką, ciotką i kuzynami na kazachskim stepie, mając w tle kołchozowe zabudowania. I notatka na okładce modlitewnika, gdzie Adela zapisała datę, godzinę i dzień śmierci swoich synków. Pochowała ich na miejscowym cmentarzu na stepie.



Rodzina Agiewych, która przygarnęła Domańskich w kołchozie Airtau, 1942

pomóc, bo sami mieli niewiele. Wyrazem tej sympatii jest fotografia z dedykacją: „Na pamiątkę od Agiewych: Marusi, cici Fiodorowny, Daszy, Moti i Gawriła. Popatrz na nas i wspomnij, jak żyliście w Airtau”.

Na początku zesłania Polacy mieli problemy z uzyskaniem pracy, bo ich przyjazd poprzedziła informacja, że są wrogami narodu rosyjskiego. Stąd nieufność i podejrzliwość tubylców. Okazało się, że ci wrogowie to w większości kobiety z dziećmi i starcy. Adela nie była już wtedy delikatną panienką, ale twardą kobietą walczącą o utrzymanie swojej rodziny. Imiała się każdego sposobu, aby zarobić: gotowała z dostępnych produktów nieznaną tam potrawę, piekła ciasta (czego nie potrafiły tamtejsze kobiety, a o torcie nawet nie słyszały), prała, szyła na maszynie, którą pozwolono jej zabrać na zsyłkę, haftowała kobiece bluzki i męskie rubaszki (koszule), nawet goliła mężczyzn i była fryzjerem dla mieszkańców kołchozu. W zamian otrzymywała głównie produkty żywnościowe. Potem już pracowała w ogrodzie i w polu, a tam: sadzenie i kopanie ziemniaków, trzebieenie słoneczników (nieraz pomagała jej w tym coraz starsza córka Zdzisia), zbiór orzeszków ziemnych, żniwa itp. Do żniwa chodziła w butach z cholewkami, a wracając z pola przynosiła zawsze za cholewkami trochę ziarna, które potem rozcierała na mąkę. Z ziemniaczanych obierek smażyła placki. Po wodę chodziła z koromysłem do płynącego opodal strumyka. Zimą, podczas panujących tam silnych mrozów, razem z mężczyznami łowiła na wędkę ryby w przerębli zamrożonego jeziora Kopa – ryby



W kołchozie Airtau, z prawej Adela Domańska z dziećmi, na biało Zdzisława Domańska, 15.07.1940

Pobył Domańskich na kazachskiej ziemi trwał ponad pięć lat, do końca maja 1945 r. W międzyczasie mała Zdzisia podrosła już na tyle, że poszła do szkoły. Zimą, gdy mróz dochodził do -40°C, zrywał się buran, silny wiatr powodujący zamiecie śnieżne. Wówczas dzieci były odprowadzane do szkoły przez dorosłych i musiały wszystkie trzymać się mocno za ręce, aby nie zabłądzić po drodze, nie zamarznąć w stepie. Dziewczynka przez dwa lata chodziła do szkoły w Airtau, gdzie naturalnie uczono po rosyjsku. Językiem polskim posługiwała się tylko w domu i wśród Polaków.

Znowu w Polsce

Powrót do Polski w ramach repatriacji nastąpił w 1946 r., a podróż była o wiele dłuższa niż poprzednia. Pociąg jechał wolno, często zatrzymywał się w szczerym polu albo na jakiejś bocznicy kolejowej i nigdy nie było wiadomo, kiedy odjedzie. Mógł stać kilka dni, kilka godzin albo godzinę – w zależności od woli maszynisty. Gdy stawał, ludzie wychodzili na zewnątrz, rozstawiali prowizoryczne piecyki, nalewali wodę w garnki, aby ugotować jakąkolwiek strawę. Nie zawsze postój trwał wystarczająco długo, gwizdek maszynisty oznaczał jego koniec – a wówczas szybko opróżniali garnki, wlewali niedogotowaną zupę i w pośpiechu wracali do swoich wagonów. Bywało, że maszynista żartował sobie z ludzi, podjechał kawałek i znowu zatrzymywał pociąg. „I śmiać się, i płakać” – mówiła po latach Zdzisława. Kiedyś zatrzymał się gdzieś w polu. Poza drutem, oddzielającym tor od nasypu, kusyły kępki dorodnego szczawiu (a może to były poziomki? trudno już sobie przypomnieć). Z żywnością w podróży było mizernie, trzeba ją było oszczędzać, bo dysponowało się tylko tym, co każdy ze sobą wziął, a nie wiadomo było, kiedy nastąpi kres podróży. 9-letnia wówczas Zdzisia wysiadła z wagonu, aby coś tam uszczknąć w rowie, ale ledwie przeszła przez drut,

pociąg ruszył, a ona została. Matka w panice chciała wysiadać za córką, ale ludzie nie puścili, a inni wciągnęli dziewczynkę do drugiego wagonu. Spotkały się dopiero na kolejnym postoju. Potem przez całe lata snił się jej ten koszmar – wysiada z pociągu, pociąg odjeżdża, a ona sama jedna zostaje w szczerym polu, w bezkresnej pustce. Po długich tygodniach podróży przyjechali do Brześcia. Tu, aby przekroczyć granicę, należało się przesiąść do drugiego pociągu. Trochę to trwało, więc dzieci tymczasem plątały się wśród wagonów. W pobliżu dworca znajdował się obóz jeniecki dla Niemców. Wyciągali oni ręce przez druty ogrodzenia, prosząc o żywność. Zdzisia i jej kuzyn Waldek mieli jak zawsze suchary w kieszeniach, dlatego niewiele myśląc podali je jeńcom. Matka skrzyczała ich, bo przestraszyła się, że mogą zobaczyć to strażnicy i jeszcze zastrzelą dzieciaki. Wreszcie pociąg z Polakami ruszył i wkrótce znaleźli się w Białej Podlaskiej. Zarejestrowali się w Powiatowym Urzędzie Repatriacyjnym, obok dworca przy ulicy Kolejowej 19. Miał on charakter tzw. punktu wlotowego. Tam przydzielono im tymczasową kwaterę w barakach oraz wydano racje żywnościowe. Większość przybyłych kierowano na Ziemię Odzyskaną. I to była wszystkim pomoc, jaką im zaoferowano. Adela nie zdecydowała się na dalszą podróż. Liczyła, że na Podlasiu szybciej odnajdzie ją mąż, gdy wróci z wojny.

Zacząła rozglądać się za pracą, w międzyczasie napisała list do siostry męża we Franopolu, że już wróciła do Polski, podała adres i pytała, czy w rodzinnym domu Antoniego wiedzą coś o jego losie. Nie wiedzieli, ale przyjechał szwagier i namawiał do przyjazdu na wieś. Pojechała z córką i starym ojcem. Musiało to być na wiosnę, bo Zdzisława pamięta, że babcia Domańska pasła akurat krowę na odkosie. Ale we Franopolu w tych trudnych latach nikomu się nie przelewało. Przenieśli się więc wkrótce do Sarnak, gdzie Adeli udało się znaleźć skromne lokum i pracę.

Od razu też zaczęła poszukiwania Antoniego poprzez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Po jakimś czasie otrzymała wiadomość z Anglii, że został zamordowany w Ostaszku, dołączono nawet garstkę ziemi. Ziemię tę umieszczono potem w grobie, w którym został pochowany Adam Matulis, a na nagrobku wykonano napis upamiętniający Antoniego Domańskiego.

We wrześniu 1946 r. 10-letnia Zdzisława podjęła naukę w klasie III w szkole w Sarnakach. Po ukończeniu kl. VII zdecydowała się na Technikum Handlowe w Siedlcach. Dzięki temu już w 1954 r. znalazła pracę w sarnackiej szkole, najpierw jako sekretarka, potem księgowa. Przepracowała tu wiele lat, gdyż na emeryturę odeszła z końcem 1995 r. Za swoją pracę otrzymała w 1980 r. Srebrny Krzyż Zasługi.

W latach 60. założyła rodzinę: wyszła za mąż, urodziła dwie córki. Wciąż poszukiwała śladów po swoim tragicznie zmarłym ojcu. Dopiero w 1989 r. do jej rąk trafiło czasopismo „Zorza” nr 30, a w nim alfabetycznie ułożona „Lista strat Kozielsk-Ostaszów-Starobielsk”. W wykazie zatytułowanym „Obóz w Ostaszku c.d.” pod numerem 321 znalazła

obarczoną błędem informację: „st. post. PP Antoni Stanisław Domański z Pińska”. Zgadzało się wszystko oprócz formacji – A. Domański nie służył w policji, tylko w żandarmerii wojskowej. W 1991 r. zapisała się do Oddziału Związku Sybiraków w Białej Podlaskiej, przez kilka lat czynnie uczestniczyła w jego działaniach. W tym czasie na swoje pismo skierowane do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji otrzymała w styczniu 2000 r. informację, że „na ostaszkuwskiej liście transportowej NKWD numer 05/4 z 5 kwietnia 1940 roku pod pozycją 63 widnieje nazwisko Antoniego Domańskiego syna Ignacego, urodzonego w 1905 roku”, który „został zamordowany w Twerze przez NKWD i pogrzebany w lesie opodal wsi Miednoje wśród pozostałych 6311 funkcjonariuszy resortu spraw



Uroczystość sadzenia Dębów Pamięci, 17.09.2010 Sarnaki

wewnętrznych II Rzeczypospolitej”. Dnia 17 września 2010 r. na starym cmentarzu w Sarnakach odbyła się uroczystość w ramach ogólnopolskiej akcji „Katyń – ocalić od zapomnienia”, podczas której posadzono 9 dębów upamiętniających ofiary zbrodni katyńskiej osób związanych z gminą Sarnaki. Dębów Pamięci plut. WP Antoniego Domańskiego,



Uroczystość sadzenia Dębów Pamięci, 17.09.2010 Sarnaki

awansowanego w 2007 r. do stopnia podporucznika, posadzili: córka Zdzisława Miłkowska z wnukiem Dominikiem Skibą.

Pani Zdzisława była skromną, ale bardzo życzliwą starszą panią, chętnie dzieliła się swoimi wspomnieniami z dalekiej przeszłości. Odeszła zbyt szybko i niespodziewanie, po krótkiej chorobie. Dołączyła do swoich najbliższych. Przeżyła 82 lata.

Agata Wasilewska